



Kult
MIŁOŚCI
Jennifer
Dukes Lee

Heaven



Tytuł oryginału:

Love Idol: Letting Go of Your Need for Approval – and Seeing Yourself through God's Eyes

Autor:

Jennifer Dukes Lee

Tłumaczenie z języka angielskiego:

Anna Pliś

Redakcja:

Lidia Miś-Nowak

Agata Duplaga

Korekta:

Natalia Lechoszest

Skład:

Alicja Malinka

ISBN 978-83-63579-87-6

© 2014 by Jennifer Dukes Lee

© 2017 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo with permission of Tyndale House Publishers, Inc.

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-310 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów, wydanie I

Druk: Drukarnia Read Me

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

Kult MIŁOŚCI

Jak wyrzec się potrzeby uznania
i zacząć patrzeć na siebie
oczami Boga

Jennifer Dukes Lee

Tłumaczenie Anna Pliś

*Lydii i Annie, abyście zawsze pamiętały,
że miłość należy do Was.*

PRZEDMOWA

To niesamowite, jak często zdarza się, że na zewnątrz jesteśmy dorośli, ale w środku nadal czujemy się trochę jak trzynastolatki. Albo nie tylko trochę. Mamy dzieci, dom, wizytówkę z dumnie wyszczególnionym tytułem zawodowym, ale wydaje się nam, jakby to było jakieś oszustwo.

Jeśli zdarza ci się, że inni ludzie mierzą cię wzrokiem, dostrzegając, że ledwie dopięłaś guzik swoich ulubionych dżinsów, albo nie wiesz, co powiedzieć, kiedy podczas lunchu siedzisz przy stole w towarzystwie dwóch eleganckich, cieszących się sukcesami kobiet, lub gdy okazuje się, że twój pięciolatek wylicza przed całą klasą, nauczycielem i Bogiem, wszystko, co uczyniłaś, żeby zepsuć mu poniedziałek i zmienić go w okropny, najgorszy dzień... W takim wypadku, od razu wiadomo, że nie potrafisz sprostać swoim dokładnie sprecyzowanym wymaganiom, wypisanym stylowo obok twojego nazwiska, czy to na wizytówce, czy z tyłu twojego pamiętnika, czy w zeszytce do korespondencji z nauczycielem.

Zdradzę Ci pewien sekret. Jennifer wysłała mi e-maila z prośbą o napisanie tej przedmowy dokładnie tego dnia, kiedy czułam się chyba najbardziej rozbita i do niczego. Odpisałam jej wtedy: „Dzisiaj rano czuję się wyjątkowo beznadziejnie. Mam mokre włosy zawinięte w ręcznik i siedzę bez makijażu. To najgorszy czas w tym miesiącu, a mój dom wygląda jak po katastrofie. Kręci mi się w głowie i nie ma takiej ilości snu, która mogłaby zrekompensować ostatnie siedem lat. Czuję się pusta i niewystarczająca”.

Bo prawda jest taka, że często daję się nabrać na kłamstwo, że jest coś, co mogłabym zrobić, wymyślić, czego mogłabym się kurczowo złapać i do czego przyłgnąć tak, by zagłuszyć ten paniczny lęk, który w kółko powtarza w mojej głowie: „nie jesteś wystarczająco dobra”.

To może wykańczać.

Znam to z własnego doświadczenia. I wiem o tym też z setek relacji, które czytałam na prowadzonym przez siebie blogu, www.incourange.me, gdzie już od czterech lat kobiety z całego świata wylewają w komentarzach swój brak pewności siebie. Wspaniałe, spełnione, odnoszące sukcesy osoby wciąż piszą te same słowa o tym, jak czują się małe i niedocenione, o pragnieniu uznania i o lęku przed porażką.

Kobiety, które podziwiam i kocham, są zupełnie rozbite, gdy porównują się do swoich siostr, a potem stwierdzają, że całkowicie brakuje im pewności siebie. Kusi je, by następnego dnia w ogóle nie pokazywać się światu.

I takie kobiety nie są wyjątkami.

Po co zatem ta książka? Właśnie ona pomogła mi to sobie uświadomić. Ta książka w ostatnim miesiącu przemierzyła ze mną samolotem wiele tysięcy kilometrów, wciśnięta do mojej

torby komputerowej pomiędzy laptopem a tymi wszystkimi listami zaległych zadań. Ta książka przyniosła głębokie poczucie ulgi i wyjątkowo potrzebne mi pocieszenie, przypominając, kim jestem w Chrystusie, szczególnie w ciągu tego miesiąca, który prawie całkiem pogrążył mnie licznymi podróżami i brakiem pewności siebie.

Już przekazałam dalej manuskrypt otrzymany do recenzji, bo ta książka jest jak koło ratunkowe, które można rzucić tonącemu przyjacielowi.

Ponieważ my wszyscy usilnie pragniemy zapewnienia, że to, kim jesteśmy, jest ważne.

Tak samo jak ty, jak Jennifer, jak twoja znajoma z osiedla albo inna mama, którą spotkałaś podczas odbierania dziecka z przedszkola, ja także chcę mieć tę pewność, że moja praca i mój wysiłek wychowywania dzieci są uzasadnieniem tego zmęczenia i trudnych dni. Chcę wierzyć, że pranie, które właśnie posortowałam albo te parę stron, które wymęczyłam, nie są na darmo – że okażą się czymś ważnym w życiu innych ludzi.

Próbuję wycisnąć jeszcze trochę pochwał od mojej przyjaciółki, redaktora, mentora, żeby choć przez chwilę pławić się w tym wybornym poczuciu, że znowu ZASŁUŻYŁAM. Pragnę zanurzyć się w poważaniu innych, aż będę cała pomarszczona od tej kąpieli, a moja zmęczona dusza poczuje się w końcu odświeżona.

Ale tuż za rogiem czeka jutro. I wiem, że kolejny raz obudzę się na starcie tego wyścigu z włosami, których nie będę potrafiła w żaden sposób okiełznać, i dziećmi, które od razu będą gotowe toczyć wojnę nad śniadaniem, dokładnie wtedy, gdy będzie pora, by wyjść na autobus szkolny. I wtedy

znowu będę czekać na kogoś, kto przyjdzie i powie mi, że jestem wyjątkowa.

Możemy zmarnować wiele dni na takim oczekiwaniu.

Możemy zmarnować wiele czasu, żebrząc o pochwałę.

Możemy zmarnować swoje DNA, dzięki któremu nasze życie staje się wyjątkowe i niezbędne, jeśli będziemy nieustannie zabiegać o jałmużnę pochwał, by móc się na nich opierać.

Do tego jednak jesteśmy przyzwyczajeni. To dobrze nam znany teren. Wygodny. Stanowi ładny i dodający otuchy obraz, którego nie chcemy popsuć.

Trudniej jest się podnieść i przyjąć to wszystko, kim jesteśmy, kim udajemy, że jesteśmy, i kogo widzi w nas Chrystus, a potem ruszyć w Jego stronę. To wcale nie jest łatwe i może wymagać wycwiczenia na nowo zapomnianych mięśni, ale ja w to wchodzę.

I Jennifer.

I ty też możesz.

My, córki Króla, potrafimy zrobić ten odważny krok, gdyż na kartach tej książki, Jennifer ukazuje nam to, jak On naprawdę nas postrzega. Nas, które nie mamy starannie uczesanych włosów, a oponki na brzuchu ukrywamy pod eleganckimi, umiejętnie udrapowanymi bluzkami. Nas, które martwimy się i czujemy niepewnie, które pracujemy ciężko, by dopasować się do otoczenia, do współpracowników na naradzie i do własnej skóry. Nas, które wciąż pragniemy znaleźć nową koleżankę, abyśmy mogły jej opowiedzieć, jak nasz syn wrzeszczał, nie chcąc wsiąść do szkolnego autobusu, przez co było nam tak wstyd i byliśmy złe i sfrustrowane już samym faktem, że w ogóle musimy być dorosłe.

My, siostry, które potrzebują siebie nawzajem i Zbawcy, który zawsze widzi w nas piękno.

Piękno, aprobaty i miłość, które istnieją od zawsze, bo zawsze i jedynie w Jezusie można je odnaleźć.

Ta książka ma przypominać, że zostałam całkowicie i głęboko ukochana, nim się urodziłam i nie ze względu na to, co zrobiłam lub czego nie zrobiłam. Że jest Bóg, który woła cię po imieniu właśnie teraz, pośród twojego najgłębszego zagubienia i braku pewności i wyciąga swoją rękę, czekając, byś Go chwyciła, zaczęła na nowo swoją historię życia i poszła za Nim.

Lisa-Jo Baker

Mama trójki rozwrzeszczanych dzieciaków, specjalista do spraw mediów społecznościowych w *DaySpring*, community manager dla milionów kobiet, które gromadzą się wokół portalu www.incourage.me, oraz autorka książki *Surprised by Motherhood: Everything I Never Expected about Being a Mom*.

WSTĘP

JAKI KULT?

Cześć, mam na imię Jennifer. Wiem, że dopiero się poznałyśmy, ale w moim sercu zdążyło już zakiełkować dobrze mi znane pragnienie – chciałabym, żebyś mnie polubiła.

Żyłam w ten sposób przez większość swojego życia. Chciałam, żeby ludzie mnie akceptowali. Chciałam być naprawdę kimś, a czułam się nikim. Nie mówię tego z dumą, jednak muszę przyznać, że starałam się przypodobać ludziom, byłam perfekcjonistką i więźniem ludzkiej opinii. Miałam nadzieję, że inni będą *m y ś l e ć*, że mam wszystko, co trzeba, i często było to ważniejsze niż sam fakt, czy rzeczywiście to miałam.

Spójrz, proszę, jeszcze raz na poprzedni akapit. Zauważyłaś, że używam czasu przeszłego, jakby tamta kobieta była kimś innym? Ale tak naprawdę, to nadal często *j e s t e m* tą osobą.

Może ty też taka jesteś i chciałabyś wyzwolić się z tej pogoni za wskaźnikami poparcia. Marzysz o tym, żeby odnaleźć prawdziwe zadowolenie z tego, kim jesteś dla Jezusa,

a nie ze swoich wysiłków. Pragniesz autentycznej radości w życiu, wynikającej nie z celujących osiągnięć ani tego, co inni o tobie myślą, lub też z ulotnych oznak spełnienia wyidealizowanych marzeń, ale opartej na tożsamości, którą oferuje ci kochający Zbawiciel.

Mówiąc krótko, chcesz wreszcie przestać kłaniać się u stóp tego bożka, którym stała się dla ciebie miłość.

Już słyszysz twoje oburzenie: „Jaki bożek? Miłość ma być bożkiem? Jak to możliwe? Miłość pochodzi od Boga. Zostaliśmy stworzeni na obraz Boży, a Bóg jest miłością!”

Święty Paweł pisał w Liście do Koryntian: „Tak więc trwałą wiara, nadzieja, miłość – te trzy: z nich zaś największa jest miłość” (1 Kor 13,13)¹. A jednak, bierzemy to, co „największe” i wypaczamy, zmieniając w bożka. Wykrzywiamy nasze pragnienie akceptacji i uznania, tworząc sobie fałszywe bóstwo.

Zamiast ukryć się w miłości i poczuciu akceptacji niewidzialnego Boga, uganiamy się za ulotnymi przyjemnościami ludzkiego poważania.

To, czym kieruje się nasze serce, staje się wkrótce naszym panem. Osoba, która zabiega o uznanie i akceptację, może szybko odkryć, że to pragnienie panuje nad nią. Człowiek, którego główną motywacją jest potrzeba akceptacji innych ludzi, w końcu zaczyna podlegać jej władzy.

Jeśli nie otrzymamy miłości i akceptacji, których tak bardzo łakniemy, zaczyna nam brakować pewności siebie. Ale kiedy tylko dostaniemy to, czego pragniemy, może się okazać, że wcale na tym lepiej nie wyszliśmy, gdyż zostaliśmy

¹ Wszystkie cytaty, o ile nie zaznaczono inaczej, pochodzą z Biblii Tysiąclecia, wydanie IV (przyp. tłum.).

oszukani i zaczynamy wierzyć, iż nasze bożki mogą dać nam poczucie spełnienia.

I wracamy po więcej.

Ta książka jest dla każdego, kto chce cieszyć się doskonałą miłością Boga i uwolnić od męczących żądań *Bożka Miłości*.

To nie jest poradnik w stylu „zrób to sam”, który przedstawiałby rady, jak krok po kroku urządzić swoje chrześcijańskie życie. Nie wskaże ci, co musisz zrobić, żeby zyskać albo zapracować na więcej miłości i uznania ze strony innych ludzi. Większość z nas już próbowała tego podejścia i wiemy, że to nie działa. To raczej książka, która ma na celu zachęcić cię, żebyś otworzyła ręce i zaczęła przyjmować miłość, która do ciebie należy. Razem możemy wciągnąć na maszt białą flagę, ogłaszając kapitulację naszej potrzeby ludzkiego uznania na rzecz Boskiej akceptacji, która została już dla nas wykupiona i opłacona. Te słowa dotyczą się zarówno ciebie, jak i mnie – jesteśmy obie pielgrzymkami na drodze do wielkiego odkrycia. Na tych stronach zawarte jest wołanie mojego serca, moja osobista walka o wolność, które teraz ofiarowuję.

Modłę się, żebyśmy razem potrafili porzucić:

- wewnętrzny głos krytyki, który krzywdzi, lustro, które oskarża, oraz zaprogramowany sposób myślenia, który wsącza w nas złe wspomnienia;
- nasz odruch, by za wszelką cenę przypodobać się ludziom;
- wyobrażenie, że wszystko zależy od ciebie i ode mnie, że nasza opinia wynika z naszego idealnego zachowania;

- nasze zamiłowanie do samokrytyki;
- nasz strach przed podjęciem próby, gdyż obawiamy się, że poniesiemy klęskę na oczach innych ludzi;
- naszą niezdolność do pełnego doświadczenia miłości Boga, spowodowaną tym, iż wciąż oczekujemy na dowód ze strony małżonka lub przyjaciółki potwierdzający, że zasługujemy na miłość;
- nasze pragnienie, by czuć się kimś ważnym;
- naszą żądzę, by być „znaną”;
- nasze nieewangeliczne pojęcia na temat podobania się Bogu.

To co, dołączysz do mnie?

Mam nadzieję, że tak, ponieważ potrzebuję przyjaciółki na tej drodze.

Być może jesteś taka jak ja – wciąż potrzebujesz na nowo przypominać sobie, że jesteśmy już kochani przez Tego, który nas stworzył. Te słowa są adresowane do kobiet, które znają przekaz Biblii o tym, że nasza tożsamość jest w Jezusie, ale które dostrzegają, że nadal tkwią w sidłach pogoni za uznaniem wśród mieszkańców Ziemi.

Część z was trzyma przed sobą ten tekst, ponieważ wyrosłyście w przekonaniu, że na miłość i uznanie trzeba zapracować, ale wydaje się wam, że nikt nie zatroszczył się o to, by w was zainwestować. Gdy dorastałaś, słyszałaś, że nie da się ciebie kochać. Byłaś niedoceniona lub wykorzystywana przez kogoś, kto nie szanował skarbu, który się w tobie kryje. Być może jest ci trudno zrozumieć, czym naprawdę jest miłość, ponieważ ktoś, komu miałaś ufać, wypaczył to pojęcie.

Być może twoim problemem jest właśnie poczucie, że powinnaś wypracować swoją drogę ku miłości. Może twój ojciec był apodyktyczny albo matka okazywała ci aprobatę jedynie wtedy, kiedy zachowywałaś się zgodnie z jej wymaganiami. Być może to twoja wspólnota parafialna dała ci odczuć, że musisz zaskarbić sobie łaskę i tym samym miłość.

A może jest wręcz przeciwnie. Może wyrosłaś w domu takim jak mój, gdzie doświadczałaś miłości i bezpieczeństwa. Kiedy kładłaś się spać, tata przykrywał cię kołderką i dawał buziaka na dobranoc, zanim zgasił światło. I lata później, kiedy kładłaś się na kozetce u psychiatry, było wyjątkowo trudno znaleźć jakiś głęboko ukryty w twojej przeszłości powód, który mógłby tłumaczyć tę potrzebę akceptacji.

Ja nie potrafię znaleźć dobrego wytłumaczenia dlaczego czułam się tak załamana, jak sami będziecie mogli zobaczyć w dalszej części książki. Jedynie może fakt, że po prostu jestem jedną z przedstawicielek gatunku ludzkiego, który od początku historii sprowadzał największe dary Boże do roli bożków.

Zgadza się... nie wszystkie bożki muszą być ze złota. Niektóre z nich, te najgroźniejsze, są sprytnie zamaskowane pod płaszczykiem darów Bożych – jak na przykład jedzenie, seks, przyjemność, a nawet miłość.

I one właśnie sprawiają, że usychamy z tęsknoty.



Moja przyjaciółko, a gdzie ty zmieniałaś miłość w swoje fałszywe bóstwo? Gdzie szukałaś miłości, akceptacji i szacunku?

Jesteśmy bombardowani przez naszą kulturę takim przekazem, że jeśli spełnimy pewne kryteria, życie będzie lepsze. Mówi się, że uda nam się odnaleźć odpowiedzi na nasze największe bolączki, kiedy tylko będziemy więcej pracować, szybciej się piąć na szczyt, stawać się piękniejszymi – wszystko, poza zwróceniem się do Boga.

Być może zdarzyło ci się, że szukałaś poważania na tylnym siedzeniu samochodu, przy stole z ważnymi osobistościami albo w barze. Może starałaś się znaleźć uznanie u oziębłego współmałżonka, syna, który nie wraca do domu, współpracownika, który odrzuca wszystkie twoje innowacyjne propozycje, lub ojca, który nadal uważa, że nigdy nie będziesz wystarczająco dobra. Ten głód akceptacji dokonał całkowitego spustoszenia w twoim życiu. Pragniesz być zauważona, znana. Ale w środku czujesz się jak „nikt” – ktoś, kogo się w ogóle nie dostrzega.

A może to wygląda zupełnie niewinnie. W zasadzie, teoretycznie może wydawać się, że ten głód miłości i akceptacji jest zaspokojony. Możliwe, że rzeczywiście jesteś na liście najlepszych uczniów w szkole, wyróżnionych absolwentów, zasiadasz w zarządzie izby handlowej, wszyscy pamiętają o tobie, zajmujesz intratne, kierownicze stanowisko.

Wielka gwiazda w świetle jupiterów. Taki „nikt”, który wyszedł z – wydawałoby się – niemożliwej sytuacji dzięki ciężkiej pracy. I teraz doświadczasz słodkiego poczucia akceptacji i uznania.

Szatan uwielbia szeptać to jedno pytanie do ucha każdego człowieka: „Co sobie ludzie o tobie pomyślą?”. Pocąc się z nerwów, odpowiadamy na to pytanie, inwestując nasze pieniądze, energię i czas w to, co wydaje nam się, że może dać

radość, oklaski, akceptację i choć trochę więcej szacunku.

Ale niezależnie od tego, ile otrzymamy lub jak dobrzy jesteśmy, zawsze znajdzie się ktoś, kto „ma lepiej”, pisze pochytliwsze opowiadania, wypowiada się bardziej elokwentnie, żyje bardziej elegancko, wychowuje dzieci z większą cierpliwością, częściej awansuje (i na pewno ma lepszą fryzurę!).

Wiem o tym, ponieważ sama zorientowałam się, że uczestniczę w tym kulturowym wyścigu szczurów. Pięłam się coraz wyżej po drabinie kariery tylko po to, aby odkryć, że żaden ze szczebli nie był na tyle wysoko, by dać mi satysfakcję. Przez wiele lat pracowałam sześćdziesiąt godzin tygodniowo w redakcjach czasopism, mając nadzieję, że zgromadzę sobie wystarczająco dużo szacunku ze strony redaktorów naczelnych, kolegów oraz koleżanek, jeśli będę mieć mnóstwo artykułów z pierwszych stron i wcześniej niepublikowanych newsów. Byłam takim społecznym kameleonem, który starał się dostosować do otoczenia. Próbowałam robić wszystko idealnie i uszczęśliwiać innych tylko dlatego, że pragnęłam więcej miłości. Stosowałam różne techniki – sztuczne uśmiechy, dowcipne statusy na Facebooku. Wszystko po to, żeby sprawić, by inni myśleli, że jest dobrze, a tymczasem w środku byłam załamana.

A zatem jaki był nadrzędny cel moich wszystkich wysiłków? Czy udało mi się w końcu zdobyć trwałą radość?

W pewnym sensie odnosiłam same sukcesy. Przynajmniej według barometrów społeczno-kulturowych. Ale nie da się zmierzyć zdrowia kobiecej duszy przy użyciu miarek, wag albo wskaźników poparcia i uznania. Chcę to wyraźnie podkreślić – jestem najlepszym przykładem tego, że człowiek

może jednocześnie doświadczać spełnienia i czuć się wyjątkowo pusty.

Ale również czułam się nikim. Być może ty także czujesz się podobnie. Może nigdy nie należałaś do klasowej elity. Patrzysz na swojego Facebooka i nagle sobie uświadamiasz, że tylko ciebie nie zaprosili.

A może jesteś pastorem² przemawiającym do prawie całym pustych kościelnych ławek, autorką, która nie wie, jak skłonić wydawcę, żeby zechciał chociaż rzucić okiem na przesłany tekst albo wolontariuszką, której wkład pracy jest za każdym razem pomijany.

Masz wrażenie, że w życiu nie uda ci się nikogo zachwycić.

Pośród tego wszystkiego możesz naprawdę czuć się jak zupełny nieudacznik.

Ale nie trać ducha – nawet dla największych nieudaczników jest ogromna nadzieja. Ludzie, którzy tracą życie z powodu Chrystusa, na końcu są zwycięzcami, ciesząc się tym życiem, dla którego zostali stworzeni (zob. Mt 10,39).

Kiedy zaczynałam pisać tę książkę, zrobiłam listę osób, które miały się za mnie modlić. Znalazł się tam też pastor, który zgodził się przyjąć moją intencję, nawet zanim dowiedział się, o czym piszę.

Później wysłał SMS-a z pytaniem: „O czym jest ta książka?”

Odpisałam mu dokładnie tak: „To książka o tym, jak pogodzić się z samym sobą i zaakceptować siebie takimi, jakimi stworzył nas Bóg. Skierowana do ludzi, którzy pragną akceptacji... i którzy boją się, że nagle świat zobaczy, że ich życie wcale się nie układa. Śmiesznie, bo mogłoby

² W kościele, do którego należy autorka, pastorami mogą być również kobiety, a kapłaństwo nie jest wyniesione do rangi sakramentu (przyp. red.).

się wydawać, że autor powinien sam najpierw przejść swoją drogę uzdrowienia, a ja, nawet gdy to piszę, nadal czuję, że codziennie walczę z tym wszystkim”.

Minutę później usłyszałam dźwięk przychodzącego od pastora SMS-a: „I o to chodzi. Uzdrowienie to proces”.

Uzdrowienie to proces.

Zatem właśnie zaczyna się ta droga. Ty i ja wkraczamy razem na ścieżkę, ramię w ramię, podejmując wyzwanie, by odszukać nasze prawdziwe „ja” na tym krętym gościńcu prowadzącym z powrotem do domu. Moje własne życie jest najlepszym studium tego, na jak różne sposoby objawia się potrzeba miłości – od pogoni za uznaniem po usilne starania, by dobrze żyć. Najpierw odsłonię przed tobą zasłonę zakrywającą moją przeszłość, która aż jeży się od przeróżnych błędów. A potem chcę cię zaprosić do podjęcia ze mną wspólnej drogi prowadzącej ku obecnym odkryciom. A będziemy odkrywać jak niezmiernie ty i ja jesteśmy ukochani przez Boga, który zesłał nam swojego Syna.

Nie piszę tych słów z pozycji mistrza, ale raczej jako współtowarzysz w podróży, który wciąż się potyka, lecz niezmiernie podziwia najbardziej olśniewającą historię miłosną, o jakiej kiedykolwiek słyszano. I możecie mi wierzyć, odgrywaćcie w niej główną rolę.

Jego Umiłowana
Jennifer



***Kult miłości* zawiera także rozpiskę na czterotygodniowy cykl spotkań dla grup. Więcej od strony 256.**

OBRAZ PERFEKCJI

*Nie bój się radykalnie nazwać się umiłowanym przez Boga.
To jest twoje prawdziwe ja. Każda inna tożsamość to tylko iluzja.*

BRENNAN MANNING

Historia tej osoby szukającej ludzkiego uznania i zabiegającej o względy innych zaczyna się w pierwszej ławce sali lekcyjnej szóstoklasistów.

Ta wychudła dziewczynka wstrzymująca oddech, tak spięta i niespokojna, to właśnie ja. Zaciskam w spoconej ręczce swój ołówek, tak jakbym miała zaraz wykrzesać z siebie nieludzką siłę i wycisnąć z niego cały grafit. Po podłodze wykładanej linoleum niesie się stukot obcasów nauczycielki od języka, kiedy przechadza się po sali pełnej dzieci i rozdaje ocenione wypracowania. Większość z nich, z wyjątkiem mnie, siedzi beztrosko przy swoich ławkach. Zastanawiam się, czy oni popadli w jakieś poobiednie otępienie, wywołane podawanym w stołówce smażonym befsztykiem z ziemniakami. Czy nie zdają sobie sprawy, że pani Huseman rozdaje oceny za najważniejszy projekt naszego życia... przynajmniej tego w szóstej klasie?

W ślimaczym tempie nauczycielka kładzie ocenione prace, odwracając je pierwszą stroną do fornirowanych blatów

naszych ławek. Papierowy samolocik Vaughana przelatuje koło głowy Shane'a, odbija się od tablicy i wykonuje awaryjnie lądowanie prosto na biurku nauczycielki. Chłopcy rżą ze śmiechu, pani Huseman upomina ich, a ja z powrotem chowam się w cyklonie swojego niepokoju. Kto w ogóle ma czas na takie dziecinne zabawy w tak ważnej chwili jak ta? Ręce drętwieją mi ze strachu i jestem sparaliżowana perspektywą najgorszego ciosu dla osoby osiągającej nieprzeciętne wyniki – możliwością otrzymania piątki zamiast szóstki.

W końcu nauczycielka zatrzymuje się koło mnie. Kładzie dobitnie moje wypracowanie na ławce i poklepuje mnie po ramieniu, próbując w ten sposób dodać otuchy temu dziecku, które nie chce zawieść swojej nauczycielki ani rodziców. Odwracam kartki i wstrzymuję oddech, aż moje oczy błyskawicznie nie wyłapią tego, czego tak bardzo szukam.

I dostrzegam ją. Jest w rogu, wypisana atramentem, szóstka z plusem. Dopiero wtedy wypuszczam z siebie powietrze w długim, ciepłym wydechu. Cienka, czerwona linia tej jednej cyfry przegania zupełnie moje lęki. Dostaję swoją dzienną dawkę akceptacji, której tak potrzebowałam i teraz mogę już normalnie oddychać. Przynajmniej do jutra.

Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym dostała piątkę. Nigdy nie miałam na tyle odwagi, żeby stawić c z o ł a c z e m u ś t a k i e m u.



W taki sposób przeżyłam całe moje życie – niecierpliwie przebierając nogami i wstrzymując oddech w pogoni za byciem kimś znaczącym, a co za tym idzie, poszukując

nieustannie akceptacji i uznania. Odgrywałam różne role, wspinałam się, mierzyłam w wyścigach, zaciekle walczyłam o pierwsze miejsce i przybierałam pozy – wszystko, by osiągnąć swój cel.

Jak ognia bałam się odrzucenia. Miałam wielkie pragnienia – być piękniejsza, szczuplejsza, mądrzejsza, lepsza. W całym tym wysiłku wizja pochwał od ludzi zupełnie przysłoniła prawdziwą miłość.

Chciałam szóstki, nie tylko na wypracowaniu z szóstej klasy, ale w całym życiu.

Możecie to nazwać perfekcjonizmem. Ale to jest objaw większego problemu. Chciałam być akceptowana. Chciałam być kochana.

Zapomniałam o tym, że przecież jestem.

Bożek Miłości całkowicie mnie zniewolił, przykuwając do mojego własnego wskaźnika popularności i akceptacji. Stałam się uzależniona od bycia lubianą.

A świat jest barem, który hojnie wydaje ogromne porcje marnych pochwał: korony dla królowej balu, trofea za zajęcie pierwszego miejsca, błyszczące okładki dla najpiękniejszych. Napełniamy tym nasze talerze, karmiąc się fałszywym obrazem miłości. Wyskubujemy dla siebie okruchy akceptacji, ale zawsze odchodzimy od stołu głodni, łaknąc jeszcze więcej. Mierzymy miłość i szacunek cyframi – liczbą znajomych na Facebooku, stanem konta, miesięcznymi przychodami czy rozmiarem ubrań.

Zawsze nam mało.

Zaczynamy już za młodu, szukając miłości gdzieś poza Edenem, zanim jeszcze nauczymy się wiązać sznurówki lub liczyć do dziesięciu. Przychodzimy na świat pomarszczeni,

wymachując rękami i nogami, tak jakbyśmy już wtedy bali się opuszczenia. Ktoś odcina pępowinę i zakłada nam czapkę w paski, kiedy my płaczemy głośno, by nas wziąć na ręce. I tak zaczyna się nasze dożywotnie poszukiwanie miłości.

Wchodzi szatan.

Pierwszy kłamca tego świata stara się, byśmy zapomnieli, że jesteśmy przede wszystkim zamysłem samego Boga. Nie zawsze pamiętamy, że to prawdziwy Bóg na prawdziwym tronie nazywa nas swoimi umiłowanymi. Nasz pełzający wróg przekonuje nas, że miłość Stwórcy nie wystarczy, że nigdy nie wystarczała. I diabeł wciąż chce, żebyśmy zastanawiali się, co inni o nas myślą. Próbuje sprawić, byśmy zapomnieli o Bogu. Marcin Luter nazywa to grzechem: „Grzechem wszystkich naszych grzechów jest zaufać kłamstwu węża, że nie możemy pokładać ufności w miłości i łasce Chrystusa i musimy sami wziąć sprawę w swoje ręce”.

Odwracając nieufnie nasze spojrzenia od Stwórcy, bierzemy sprawę w swoje ręce. Jako współczesne Ewy sięgamy po błyszczący owoc spełniania wszystkich norm i oczekiwań formułowanych przez naszą kulturę.

Nie da się racjonalnie wyjaśnić ogromu Bożej miłości ani tego, dlaczego Chrystus umarł dla nas, „gdyśmy byli jeszcze grzesznikami” (Rz 5,8). Więc żyjemy tak, jakbyśmy w ogóle w to nie wierzyli.

Ja właśnie żyłam tak, jakbym w ogóle w to nie wierzyła.

Wątpiłam w Jego miłość. Nie ufałam Jego przymierzu.

Jest 2 kwietnia 1979 roku, dzień po prima aprilis. Wielebny Vickery trzyma mnie na rękach. Polewa wodą moje czoło na oczach Zjednoczonego Kościoła Metodystycznego,

a potem unosi moje zwinięte ciało wyżej i pokazuje królową – wrzeszczące niemowlę. Wierni w skrzypiących drewnianych ławkach kościelnych biją brawo.

Kiedy mam trzy lata dreptam w stronę ołtarza w lakierkowych, skórzanych bucikach, stając na tym samym czerwonym dywanie, gdzie zostałam ochrzczona. Teraz wyszłam, żeby zaśpiewać razem z chórem podobnych mi cherubinków piosenkę *Jezus mnie kocha*.

Kilka lat później klęczę tam znowu, kiedy przyjmuję pierwszą komunię świętą.

Jako trzynastolatka stoję ubrana w białą szatę i dokonuję konfirmacji przyrzeczeń chrzcielnych³. A potem, pewnej wigilii Bożego Narodzenia, siedzę na składanym krzeselku w tym samym miejscu i trzymając w objęciach lalkowego Zbawiciela, odgrywam w przedstawieniu rolę Maryi Panny, Matki Bożej.

Jestem jednak ofiarą żartu primaaprilisowego, bo daję wiarę kłamstwu na temat obrazu miłości. Teraz przyznaję, że wcale do końca nie wierzyłam w obietnicę, jaką niósł mój chrzest. Jeśli mam być zupełnie szczerą, żyłam jak niewierząca. Ja, kobieta otrzymująca nauki Chrystusa już od trzeciego roku życia. Ja, kobieta rozdająca Komunię, udzielająca się w wakacyjnych szkółkach biblijnych, wybierająca pieśni na nabożeństwa. W kościele śpiewam o Jego wielkiej miłości i łzy płyną mi po policzkach. Ale moje codzienne życie pokazuje, że te piosenki to dla mnie puste słowa, czysta abstrakcja.

³ K o n f i r m a c j a – obrzęd uroczystego przyjęcia młodzieży do wspólnoty kościoła, odpowiednik katolickiego bierzmowania jako sakramentu dojrzałości chrześcijańskiej; nie ma jednak charakteru sakramentu (przyp. red.).

Chociaż wcale tego nie chcę, moja stara natura wychodzi spod mojego nowego „ja”. Z bólem to przyznaję, ale taka jest prawda. Bywały chwile, gdy moje nieszczerze serce szukało uznania wszędzie poza kościelnym ołtarzem. Świat jest kakofonią rozproszeń i ludzkich oklasków, zagłuszających głos Chrystusowego nawoływania.

Nie umiem dokładnie określić, co w moim życiu sprawiło, że przez te wszystkie lata tak bardzo zabiegałam o ludzkie uznanie. Nie zaprzeczę, iż moi rodzice cenili i wynagradzali ciężką pracę. Oczekiwali ode mnie, że włożę wiele wysiłku w naukę w szkole. Ale nigdy nie czułam, żebym musiała zapracować sobie na ich miłość i akceptację. Wiedziałam, że byłam kochana, ponieważ byłam ich córką. Koniec. Kropka.

Być może po prostu to taka moja cecha, tak samo jak brązowe oczy czy inne wrodzone przymioty. I w jakimś stopniu każdy z nas tak ma. Bóg wlał w nas potrzebę, by kochać i być kochanym. To piękne wewnętrzne pragnienie ma nas prowadzić do Niego. Ale nasza stara natura potrafi wypaczyć nasz głód miłości tak, że zaczynamy bardziej pragnąć uznania ludzi niż względów u Boga.

Słowo Boże wskazuje, że to jest właśnie część ludzkiego charakteru. Pismo Święte często się do niej odnosi, ostrzegając nas przed pokusą wybierania tego, co doczesne. Właściwie to ostrzeżenie stało się dla świętego Pawła tematem, który wielokrotnie pojawia się w jego listach. Pisze on, „aby się podobać nie ludziom, ale Bogu” (1 Tes 2,4).

Prawdą jest jednak, że nie zawsze chcemy podobać się Bogu. W zasadzie bardzo lubimy podobać się ludziom, bo to jest takie miłe. Odgłos braw przypomina nam nie tylko

o tym, że robimy coś dobrze, ale – co równie ważne – że nie daliśmy plamy przed szerszą publicznością. Ponieważ nie możemy naszym ludzkim uchem usłyszeć Bożej pochwały w stylu: „dobra robota”, oklaski tłumu są dla nas sygnałem, który mówi nam, że liczymy się na tym świecie.

Po niedługim czasie nawet te brawa przestają wystarczać. W skrytości serca mamy nadzieję na owację na stojąco, więc dalej śpiewamy i tańczymy. Żyjemy pragnieniem nieustannego bisowania.

Cóż za wyczerpujące życie!



Shari, moja znajoma, dokładnie wie, jak bardzo męczące potrafi być takie życie. Twierdzi, że jej potrzeba akceptacji i uznania sprawiła, że kwestionowała swoją wartość w niemalże wszystkich obszarach życia – jako żona, matka, przyjaciółka, pracownik, chrześcijanka. Ale pytanie, z którym najdłużej się męczyła to: „Czy jestem dobrą córką?”

– Kocham bardzo moich rodziców. Jestem i byłam z nimi w dobrych relacjach przez całe życie – mówiła do mnie. – A jednak, jest jedna rzecz, którą naprawdę chciałam od nich usłyszeć, jedna rzecz, której przez wiele, wiele lat bardzo pragnęłam. Chciałam, żeby powiedzieli: „Jesteśmy z Ciebie dumni”.

Latami Shari słyszała, jak jej rodzice chwalili się osiągnięciami jednego z jej rodzeństwa.

– Z każdym razem, gdy coś zrobiłam, czekałam z nadzieją na pochwałę... ale nigdy jej nie otrzymałam. Byłam rozczarowana i smutna – wspomina.

Shari opowiada, że jej potrzeba uznania stała się dla niej uzależnieniem, do tego stopnia, że zaczęła czuć się jak narcomanka czekająca na kolejną działkę. Kiedy tylko nie była w stanie otrzymać tego od rodziców, szukała jej w innych relacjach.

– W końcu okazywało się, że kolejna „działka” nie nadchodziła wystarczająco szybko lub była zbyt mała. Potrzebowałam coraz więcej, by odczuć zaspokojenie – tłumaczy.

Tak jak Shari, ja również, dorastając, zaczęłam pragnąć „kolejnej działki”. Jako dziecko uwielbiałam komplementy, gdyż sprawiały, że czułam się ważna. Wszelka krytyka z kolei całkowicie psuła mi nastrój.

Gdy byłam mała, moje dwie starsze siostry i młodszy brat nazywali mnie Żółtym Dzieckiem. To przezwisko miało być zapewne żartem z tego, że jestem tą szóstkową uczennicą, siostrzyczką z przyznaną grzywką i ubraniami w szafie poukładanymi według koloru. Ja jednak obnosiłam się z tą ksywką jak z jakąś odznaką. Dla mnie to była prawdziwa pochwała.

Ale gdzieś zza pochwał docierały też do mnie szyderstwo i piskliwy chichot nerwicy. To były głosy w mojej głowie, które przybierały formę dwóch snobistycznych pańienek, egzaltowanych blondyneczek, które na dobre rozgościły się w moim umyśle. „Żółte Dziecko? Oj tam!” – mówiły, przewracając oczami. W mojej wyobraźni nosiły zawsze legginsy narciarki i welurowe frotki w fluorescencyjnych kolorach. Przechadzały się, kołysząc biodrami w samym środku mojej głowy, jakby to miejsce całkowicie do nich należało.

Moi rodzice wychodzili ze skóry, żeby utwierdzić mnie w przekonaniu, że nadal będą mnie kochać, nawet jeśli by

mi się nie powiodło. Teraz szczególnie wyraźnie przypominam sobie właśnie jeden poranek, ten dzień, gdy odbywały się gimnazjalne zawody lekkoatletyczne w 1985 roku. Powiedziałam tacie, że martwię się, iż przyniosę im wstyd, kończąc na ostatnim miejscu. Chciałam w ogóle zrezygnować z udziału. Oparłam ręce na kuchennym stole i schowałam głowę w ramionach, płacząc. Tata tylko położył mi dłoń na ramieniu i namawiał mnie, żebym po prostu spróbowała dać z siebie wszystko, skupiając się na tym, co nazwał moim „osobistym rekordem”. Tego deszczowego popołudnia obiegrałam dwukrotnie asfaltowy tor w północno-zachodnim stanie Iowa. Przekroczyłam metę okropnie zmordowana jako ostatnia osoba w biegu na 800 metrów. Jeszcze tego nie wiedziałam, ale poprawiłam swój osobisty rekord o parę sekund. Czułam, jak palą mnie płuca, a moja klatka piersiowa była jakby z ołowiu. Oparłam dłonie na biodrach i spojrzałam na trybuny. Poprzez mżawkę dojrzałam mamę i tatę. Oboje stali z wysoko wzniesionymi rękami i bili brawo.

Kochali i akceptowali mnie, pomimo mojego byle jakiego finiszu.

A jednak czułam się o wiele lepiej, przynosząc do domu szóstki i najwyższe noty w konkursach muzycznych. Oczywiście rodzice wiwatowali, nawet gdy przegrałam, jednak gdzieś w środku czułam, że wołałabym, żeby mogli być dumni z mojego zwycięstwa, a nie przegranej choć wytrwałej walki.

I mimo że rodzice mnie nie krytykowali, robiły to te snobistyczne egzaltowane blondyneczki. Były niczym agresywne oportunistki, wypominające mi moje porażki. Taka jest robota wewnętrznego krytyka – wetknąć stopę w szparę

drzwi prowadzących do twojego umysłu i przypominać ci, że jesteś ofiarą losu, niezależnie od tego, co mówi o tobie Bóg.

W moim pamiętniku nastolatki, za który służył mi grubo kołanotatnik, często zapisywałam słowa o tym, jak bardzo moją wrażliwą duszę bolały komentarze tych dwóch wewnętrznych krytyków. Rok temu znalazłam ten żółty zeszyt ukryty pod materacem mojego dziecięcego łóżka. Pamiętam to dołujące doświadczenie, kiedy już jako dorosła osoba przeglądałam te strony i uświadomiłam sobie, że niewiele się zmieniło od czasu dzieciństwa. Mogłabym właściwie nadal wychwycić głosy tych egzaltowanych blondyneczek – które teraz już były dojrzałymi kobietami, elegancko ubranymi u Prady – jak śmieją się szyderczo, kiedy ja na nowo odczytuję dawne słowa:

„Dlaczego tak się czuję? – pisałam jako szesnastolatka. – Gdyby było 100 ludzi, o których wiedziałabym, że 99 mnie lubi, najprawdopodobniej skupiłabym się na tej jednej osobie, która mnie nie lubi, ponieważ chcę, żeby k a ż d y mnie lubił”.

Nawet wtedy moja przygnębiona dusza próbowała przypomnieć mi, jaka jest prawda. Napisałam u dołu strony następujące słowa: „Bóg jest miłością! Jestem umiłowana”.

Tak było, zapisałam w tym zeszycie w linie, że jestem kochana przez Zbawiciela. A jednak nie żyłam tymi słowami i dopiero wiele lat później odkryłam ten duchowy problem, który wymagał rozwiązania.

Uznanie działało na mnie odurzająco. Będąc jeszcze nastolatką, dowiedziałam się, co może zaspokoić mój nałóg – było to podpisanie mnie jako autorki publikowanego tekstu. Miałam zaledwie szesnaście lat, kiedy po raz pierwszy

odczułam ten dreszczyk oglądania w druku swojego nazwiska. Zaczęłam od tworzenia artykułów do naszego lokalnego tygodnika w ramach programu poznawania ścieżki przyszłej kariery. To były drobne teksty o szukaniu jacek wielkanocnych albo rozgrywkach baseballowych w mieście. Ale p i s a ła m. Publicznie. Dla prawdziwych czytelników. Ludzie mówili mi, że podoba im się mój styl.

Kończąc szkołę ponadpodstawową, pojechałam obejrzeć miasteczko akademickie uniwersytetu stanowego w Iowa. Osoba rekrutująca z wydziału dziennikarstwa prowadziła mnie po redakcji wydawanej na college’u gazety. Od razu zauważyłam przeszklony gabinet w rogu pokoju i przyrzekłam sobie, że pewnego dnia to ja będę w nim rządzić.

Trzy lata później, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat, w stopce *Iowa State Daily* widniało moje nazwisko jako redaktor naczelnej. Uwielbiałam gonić za tematami na artykuły, a widok mojego tekstu na pierwszej stronie nieodmienne przyprawiał mnie o dreszcz ekscytacji. To sprawiało, że czułam się potężna, akceptowana i szanowana. W każdej wakacje, zamiast wracać do domu, by odpocząć przez te parę miesięcy, pracowałam w redakcji. Latem 1994 roku przejechałam moim autem marki Geo Storm przez pół kraju, po tym gdy dostałam możliwość odbycia prestiżowych praktyk w redakcji *Sacramento Bee*.

Myślę, że powinniście wiedzieć, iż nadal chwalebnie sobie ciężką pracę i perfekcję jako coś, czym powinien się wykazać każdy student, który pragnie wysoko zajść w karierze. Zapal i ambicja, jeśli są tylko odpowiednio pokierowane przez otoczenie w pracy i domu, sprawiają, że świat może stać się lepszym miejscem dla wszystkich ludzi. Moim problemem

jednak było to, że zaczęłam niemal z czcią odnosić się do tego, co dawała mi praca, zamiast cieszyć się tym, co przygotował dla mnie Bóg.

A moje osiągnięcia nigdy na dłuższą metę nie przynosiły mi satysfakcji, niezależnie od tego, ile pochwał otrzymywałam.

Podaję, że jakaś mała część mnie samej wiedziała, iż prawdziwą odpowiedź na moje pragnienia mogę odnaleźć w Jezusie. Odwiedzałam Go sporadycznie, stając od czasu do czasu w przedsionku kościoła. Ale najczęściej postrzegałam Boga jako niezbyt zainteresowaną osobę trzecią albo, co gorsza, bajkową postać z pięknych opowiadań ze szkółki niedzielnej. Miłość Boża była zapewnieniem, które zamknęłam między kartkami swojego pamiętnika. Świętą obietnicą, którą wsunęłam do pudełka pod dziecięcym łóżkiem w domu rodzinnym, obietnicą, o której zapomniałam. Zdobyłam biegłość, ale nie w Bożej miłości, tylko w osiągnięciu prestiżu i dobrych wyników.

Świat pełen jest rankingów i życiorysów, które sprawiają, że zapominamy o Bogu, świadectw szkolnych, dzięki którym wiemy, czy udało nam się stanąć na wysokości zadania w tym wielkim świecie.

Każdy z nas może spojrzeć za siebie, na swoje dzieciństwo i przypomnieć sobie to wszystko, co nas kształtowało: listy najlepszych uczniów, ciekawe role w szkolnych przedstawieniach, wyróżnienia dla absolwentów, zaproszenia na przyjęcia urodzinowe i wiele innych. Gdy dorastamy, liczba rankingów zwiększa się: Fortune 500⁴, 50 najpiękniejszych

⁴ Fortune 500 – coroczny ranking 500 największych amerykańskich przedsiębiorstw (przyp. tłum.).

osób na świecie, 100 najpopularniejszych blogerów, najbogatsi, najbardziej seksowni, najbardziej liczący się. Nawet przywódcy chrześcijańscy mają swoje internetowe rankingi, w których wymieniają najbardziej poczytnych autorów.

Jak w świecie twórców przeróżnych rankingów mamy żyć wyłącznie według rankingu naszego Stwórcy? Jak w świecie, który mówi: „Wejdź wyżej, żeby być zauważonym”, mamy się pochylić jeszcze niżej?

Jedną z moich najbliższych przyjaciółek, Trish, która sama siebie opisuje jako uzależnioną od akceptacji innych ludzi, dobrze wie o tych rankingach potwierdzających czyjąś wartość. Sama też lubi to uczucie bycia wybranym.

Trish twierdzi, że jej uzależnienie od uznania innych potrafi objawić się na najgorsze możliwe sposoby, nawet w kościele. Lubi czuć, że ludzie mogą na niej polegać, bo zaśpiewa solówkę, uszyje kostiumy na jasełka, przystroi ołtarz, poprowadzi zbiórkę misyjną.

– Tak jakbym słyszała w kościele moją wewnętrzną Sally Field⁵ – wyznaje. – Wiesz, tę powtarzającą we mnie: „Lubią mnie, oni naprawdę mnie lubią!”

Jak sama przyznaje, czasami jej potrzeba usłyszenia słów „dobra robota” ze strony bywalców kościelnych ławek przestacza się w straszego potwora zwanego pychą.

– Nie ma czegoś takiego jak AA, żeby nam pomóc – konkluduje. – Nie ma powszechnych grup wsparcia, programu 12 kroków, które mogłyby zaradzić naszym problemom. Większość ludzi nawet nie uznaje tego za problem, a tym

⁵ Sally Field – aktorka, która w 1985 roku otrzymała po raz drugi Oscara za najlepszą rolę żeńską i dziękując, ze wzruszeniem odnosiła się właśnie do zdobycia ludzkiego uznania. Zakończyła znamiennymi słowami: „Lubicie mnie, naprawdę mnie lubicie!” (przyp. tłum.).

bardziej za nałóg. Bo w gruncie rzeczy każdy lubi być akceptowany i doceniony, ale chodzi o stopień tego zjawiska.

Razem z Trish czasem sobie żartujemy, że powinnyśmy zainicjować sztandarowy program AUA – Anonimowi Uzależnieni od Akceptacji.

We wspólnej rozmowie wyznałyśmy sobie te sytuacje, kiedy wołałyśmy uznanie ludzi od uznania Boga, nawet w kościele. Nasza stara natura nie odpuszcza, grożąc nam codziennie kolejnym załamaniem, sprawia, że chcemy być zaważone.

Shari, Trish i ja musimy codziennie na nowo podejmować walkę, ponieważ nasz wróg wcale się nie poddaje. Boi się, że nie będzie nas miał na wieczność, więc chce nas jak najdłużej mieć w posiadaniu, póki jeszcze stąpamy po tej ziemi. I nie zawaha się iść krok w krok za nami, nawet przez drzwi kościelne, jeśli będzie taka potrzeba.

Ale stwierdziłyśmy, że naprawdę warto toczyć ten bój. Gorąco pragniemy uwolnić się spod władzy *Bożka Miłości* i żyć w pełni naszą Chrystusową tożsamością, zamiast prowadzić życie dostosowane do wskaźników poparcia i akceptacji. Życie w Chrystusie to nie konkurs popularności. To nie materialistyczna pogoń za medalami, pieniędzmi czy @wzmiankami na Twitterze.

Ale od czego tak naprawdę zacząć, by wyrzec się *Bożka Miłości*? Jak to się dzieje, że zaczynamy rozumieć, iż miłość Boża jest jedyną miłością, która zaspokoi nasz głód akceptacji? Jak mamy więc odrzucić kulturę skoncentrowania na sobie, w której żyjemy?

Chciałabym żyć tak, by pokazać właściwą odpowiedź na te pytania.

Chciałabym żyć tak, jakbym była kochana.
Bo jestem.



Pani Huseman, moja nauczycielka z szóstej klasy, wiedziała o tym problemie, przynajmniej poniekąd. Nazwała go po imieniu, ale wtedy nie rozumiałam, o co jej tak naprawdę chodziło. Nawet na początku potraktowałam to jako komplement.

„Perfekcjonistka” – wypisała swoim okrągłym pismem.

Oczywiście najpierw dostrzegłam szóstkę z plusem, a dopiero potem to słowo. Ale gdy tylko przeczytałam: „p e r f e k c j o n i s t k a” – przykuło to mój wzrok, tak jakby miało w sobie jakąś moc. Analizowałam komentarz nauczycielki, okręcając wokół palca wskazującego pasemko włosów.

„Masz w sobie coś z perfekcjonistki, co według mnie często jest wielkim atutem” – pisała pani Huseman.

Zarumieniłam się.

Ale było coś jeszcze. Na drugiej stronie tej różowej karteczki widniało: „Uważaj jednak na to i staraj się mieć oczy otwarte na rzeczywistość. Zawsze będzie jakieś jutro”.

Jej słowa były ostrzeżeniem napisanym w dobrej wierze dla dziewczynki, która bardzo pragnęła być w czymś najlepsza. We w s z y s t k i m. Chciałam wiedzieć, że jestem kochana i doceniana nie tylko przez rodziców, co już otrzymałam, ale przez całą ludność zamieszkującą Marathon w stanie Iowa (o populacji równej 352 osoby). Chciałam poklepania po ramieniu, blasku poważania ze strony nauczycieli i rówieśników, a może nawet jakiejś wzmianki w biuletynie

kościelnym, zawierającej pochwałę na forum całej społeczności. Chciałam czuć się ważna. Teraz to dokładnie widzę.

Gdybym tylko mogła, chętnie usiadłabym naprzeciw tej dwunastoletniej siebie na szkolnym boisku, wzięłabym ją za rękę i przekonała, żeby trochę wrzuciła na luz. Zasugerowałabym jej, że powinna się dobrze zastanowić nad słowami mądrej i wymagającej nauczycielki od języka. Pokazałabym jej, jak zrobić samolocik z papieru. Powiedziałabym jej, żeby się nie bała i włożyła swoje ulubione różowe getry, nawet jeśli inne dziewczyny śmiały się z niej. I zburzyłabym jej fryzurę.

Zachęciłabym ją, żeby spróbowała choć raz dostać „tylko piątkę”.

Ale wtedy nie dotarło do mnie ostrzeżenie nauczycielki. Wątpię, czy w ogóle posłuchałabym swoich rad od starszej i mądrzejszej wersji samej siebie. Słyszałam tylko jedno słowo i pozwalałam, by zawisło na moich ustach – p e r f e k c j o n i s t k a. Najwyraźniej podobało mi się jego brzmienie. Bo tak bardzo przypominało inne słowo... „perfekcyjna”, czyli „doskonała”.

Wiedziałam, co oznacza „doskonała”. „Doskonała” oznaczało: uznanie. Doskonała oznaczało: ważna. Doskonała oznaczało: zadowolenie.

Ale miałam marne szanse na bycie d o s k o n a ł ą. Na boisku... w lustrze... byłam pełnym przeciwieństwem doskonałości. Doszłam do wniosku, że skoro zostałam stworzona Bożym zamysłem, to najpewniej musiał On wziąć sobie wolne w czasie, gdy jego pomocnicy składali mnie na linii montażowej.

Kiedy spoglądałam na swoje odbicie, dostrzegałam tylko

dziwnie wyglądające małe stworzonko, które gapi się na mnie z wykrzywionymi zębami. Nosiłam biustonosz nie dlatego, że już go potrzebowałam, ale dlatego, że chciałam pasować do reszty, która dzierżyła niemałą władzę nad prawie każdą moją decyzją. Pragnęłam zdobywać celujące wyniki, żeby zadowolić rodziców, którzy cenili ciężką pracę i najlepsze oceny. Tworzyłam durne teksty piosenek, żeby zdobyć uznanie moich znajomych. Ale też ukradłam naszyjnik ze sklepu z biżuterią, żeby zaimponować lubianej dziewczynie, która rzuciła mi takie wyzwanie.

Wiedziałam, co Pismo Święte mówi o mnie, ale mierzyłam swoją wartość według innej miary – lustra, świadectwa szkolnego i mojej popularności wśród rówieśników, nawet jeśli łamała one moje ugruntowane zasady moralne.

Na boisku zostałam okrzyknięta jako ta, która potrafi się przewrócić nawet o własne sznurówki. Kiedy kapitanowie drużyn wybierali sobie osoby do zespołów, zawsze zostawałam na końcu. W górnej szufladzie komody miałam całą kolekcję zielonych i żółtych odznaczeń – nagród pocieszenia dla biegaczy, którzy dobrnęli do mety jako ostatni. W siódmej klasie udało mi się zdobyć dwa punkty w meczu koszykówki. Problem w tym, że dla przeciwnej drużyny.

Nie, wcale nie byłam doskonała. Ale nie miałam nic przeciwko temu, żeby pani Huseman tak o mnie m y ś l a ł a.

Pewnego razu nauczycielka od języka zleciła nam napisanie autobiografii.

Do swojej pracy dołączyłam najważniejsze osiągnięcia: szeleszczące dyplomy z konkursów pianistycznych, zdjęcia z lokalnej gazety, na których widać było mnie z waltornią w objęciach. Strategicznie pominęłam te zielone i żółte

odznaczenia czy też fakt, że w zeszłym roku przegrałam rejonowy konkurs ortograficzny na trzyliterowym słowie⁶.

W mojej autobiografii nie mogło oczywiście zabraknąć szczegółowego planu na kolejne dziewięćdziesiąt trzy lata życia. Postawiłam sobie poprzeczkę wysoko i nakreśliłam przyszłość, jaka miała – na co mocno liczyłam – dać mi poczucie spełnienia, którego tak bardzo pragnęłam. W wieku dwunastu lat stałam się zagorzałym zwolennikiem nowego wtedy sposobu myślenia, że jeśli ktoś bardzo czegoś pragnie, powinien spisać te swoje marzenia. Byłam sama dla siebie życiowym coachem. Podczas gdy większość dziewczyn w moim wieku planowało pizama-party, ja opracowywałam swoje strategie na życie. Napisałam, że poślubię przystojnego mężczyznę i urodzę bliźniaki: chłopca i dziewczynkę. Wszystko to prowadząc dwutorowo karierę uznanego psychiatry i autorki poczytnych książek. Śmierć nie miała mnie dotyczyć aż do 105 roku życia.

Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że życie toczy się swoim torem, niezależnie od tego, co ja sobie wypiszę.

Ale w tamtym konkretnym momencie moje planowanie bardzo mi się opłaciło. Dostałam szóstkę z plusem za autobiografię. Do oceny dołączona była dwustronnie zapisana karteczka od pani Huseman. „Jesteś naprawdę bardzo zapracowaną osobą – zaznaczyła. – A co do twojej przyszłości, widzę, że dokładnie to wszystko sprecyzowałaś, ale jeśli masz dożyć 105 lat, to czeka cię jeszcze nie jedno jutro!”

Tamtego dnia w klasie czytam w kółko tę notatkę.

Perfekcyjna? Czy nie tak pani Huseman mnie nazwała?

⁶ W Stanach Zjednoczonych konkursy ortograficzne (ang. *spelling bee*) polegają na literowaniu wyrazów (przyp. tłum.).

Skoro nie mogę być najszybszym biegaczem albo najpiękniejszą dziewczyną, być może mogłabym być perfekcyjna w staraniu się, by zostać perfekcyjną. To całkiem niezły pomysł, prawda?

Zacisnęłam mocno powieki i prawie słyszałam już oklaski tłumów – ryk uznania, który dźwięczał w moich uszach. Wyobrażałam sobie moje nazwisko na tablicy w szkolnym holu. Trzeszczący głos w szkolnych głośnikach mówi: „Oto i ona. Panna Jennifer DUUUUUUKES!”. I ani jedna osoba na trybunach nie będzie pamiętać, że to była ta fujara o durnym wyglądzie, której raz udało się trafić, ale strzeliła samobója.

Schowałam skrupulatnie liścik pani Huseman na dnie szuflady mojej komody wtedy, kiedy jeszcze w modzie były spinki do włosów typu „banan”. Nie czytałam tego przez kolejne ćwierćwiecze. Byłam zbyt zajęta spełnianiem tych marzeń, gromadzeniem przez dziesięciolecia pochwał i zapewnień „dobra robota”. To było wiele lat temu, zanim nauczyłam się, że kobieta może zdobyć niemalże wszystko, czego w młodości zapragnęło jej serce, a jednocześnie tęsknić za wszystkim, czego naprawdę potrzebuje jej wycieńczona dusza.

Tkwiłam po uszy w kulcie *Bożka Miłości*.



Czyje pochwały cenisz najbardziej? (Więcej pytań do releksji znajduje się na końcu książki w przewodniku do dyskusji).